

Rozdział 1

Powrót do domu

Trzy tygodnie bez telefonu i dostępu do mediów. Zero internetu i przepełniania sobie głowy wiadomościami z kraju i ze świata.

Gdy trzy tygodnie temu wsiadałem do samochodu, myślałem, że robię najgłupszą rzecz w moim życiu. Wyjazd do zakonu kamedulskiego to był pomysł mojego terapeuty, który po sześciu miesiącach terapii powiedział, że jeżeli nie zrobię czegoś ze swoim życiem, będę najmłodszym mężczyzną spośród wszystkich, którzy umarli w mojej rodzinie. Nawet mój dziadek, mimo że przyszło mu brać udział w wojnie, to jednak uciekł spod pocisków niemieckich i dożył dziewięćdziesiątego szóstego roku życia. A ja mam czterdzieści cztery lata, nadciśnienie, nerwicę i zawał na koncie. Moja Basia to okaz zdrowia, nawet hashimoto, tak modne wśród jej koleżanek, jej nie dopadło.

To zakrawało na kpinę – zamknięcie w zakonie kontemplacyjnym kogoś, kto chodzenie do kościoła uważa za zło konieczne. Chodzę na msze od święta – śluby, pogrzeby i jak Basia wymusi, to w Wielkanoc

i Boże Narodzenie. Codzienna modlitwa dla mnie to abstrakcja. Nawet jak byłem dzieckiem, w pośpiechu wykonywałem znak krzyża i prosiłem o piątkę albo o to, żeby nauczycielka zachorowała i nie było klasówki.

W klasztorze przekonałem się jednak, że modlitwa jest mi potrzebna.

Dzisiaj powrót do domu. Nie wziąłem ładowarki samochodowej, a Basia trzy razy mnie o nią pytała.

– Filipie, masz ładowarkę w samochodzie? Pamiętaj, przez trzy tygodnie telefon ci się rozładuje. Chciałabym przywitać cię obiadem. Chociaż obawiam się, że ojcuzłkowie będą cię tak dobrze karmili, że mój obiad nie będzie ci smakował.

– Kochanie, czekaj na mnie raczej z kolacją, nie lecę odrzutowcem, myślę, że będę około dwudziestej, trasa z Krakowa do Sopotu zajmie mi jednak parę godzin.

– Tylko bez wariactwa. Nie życzę sobie odwiedzin policji z informacją: „Pani Basiu, proszę się nie denerwować, pani mąż uległ wypadkowi, ale głupi ma zawsze szczęście, ma tylko złamaną nogę i rękę. Przyjechaliśmy po panią, bo musi ktoś odebrać jego i samochód ze szpitala”.

Zaśmiałem się głośno, ale Basia nie uznała tej wypowiedzi za dobry żart.

– Basiu, czy ty jesteś moją żoną, czy jakąś czarownicą? Źle mi życzysz?

– Ja? Skądże, tylko się o ciebie martwię. Jak mogłabym źle życzyć komuś, poza kim świata nie widzę.

Wyobraź sobie, że od kiedy jesteśmy razem, nie obejrzałam się za żadnym mężczyzną. Może skakać, biegać przede mną, puszczać oczko, a ja jestem jak manekin, nawet rzęsami nie zatrzepoczę.

– Myślisz, że uwierzę? Mówisz tak, żebym w tym zakonie nie zamartwiał się tym, czy ty tu z jakimś sąsiadami nie umawiasz się na wspólne treningi i kawę.

– Co jeszcze wymyślisz? Pakuj się i jedź, bo spóźnisz się na wieczorną modlitwę i spotka cię zasłużona kara.

– Może ja nie będę jechał. Przecież umrę z tęsknoty.

– Lepiej z tęsknoty niż na zawał serca. Pamiętaj, obiecałeś mi wakacje na Bali. Szum wody, śniadania na plaży... W tym roku masz mnie nauczyć pływać. Mam czterdzieści cztery lata i pływam jak kalapeta.

– Nie przesadzaj, przecież nie jesteś pływaczką, dajesz radę.

– Tak, żabką, a może lepiej powiedzieć: ropuchą, styl dowolny Barbary.

– Kocham cię, moja ropucho. Polecimy na Bali, będziesz pięknie pływała delfinkiem. Odżywiaj się zdrowo, pij mało wina i ćwicz. I ja to mówię? Patrz, już ze stresu w głowie mi się miesza.

To była nasza ostatnia rozmowa, potem wyjechałem. Teraz, jak tylko wrócę do domu, poszukam biletów lotniczych i polecimy na Bali. Będziemy mieszkać w jakimś ładnym domku i podziwiać wschody i zachody słońca. Spędzimy ze sobą każdą godzinę i minutę. Nadrobimy stracony czas. Jedyne problem może

stanowić robactwo. Jak Basia zobaczy jakiegoś karalucha, będzie krzyczała wniebogłosy. Zbiegną się wszyscy okoliczni mieszkańcy, już nie mówię o turystach, którzy przyjadą, żeby zażyć ciszy i ukojenia.

W ciągu tych trzech tygodni medytacji, modlitwy i pracy fizycznej zmieniły się moje priorytety i poglądy. Już nie będę surowym panem prezesem, którego boją się wszyscy pracownicy. Tak naprawdę przyjąłem jakąś pozę, nawet nie wiem, kto mi wpoił, że szef musi rządzić silną ręką. Nie może zaprzyjaźniać się z pracownikami i musi zachowywać dystans. Dlaczego? Przecież wszyscy jesteśmy równi. Takie zachowanie jest sztuczne i niepotrzebne.

No dobrze, siedem godzin i będę mógł wziąć Basię w ramiona i przytulić. Później będziemy siedzieć i rozmawiać, aż świt nas zastanie, a o czwartej rano, wraz ze wschodem słońca pójdziemy spać. Rozmawiać...? Będziemy kochać się namiętnie i długo. Od pierwszego spotkania rozumieliśmy się bez słów. Nasze ciała zawsze łączyły się w seksie jak idealnie dobrani tancerze w tangu. Zawsze tryskały z nas namiętność i pożądanie. Czas zejść na ziemię...

Puste ulice... to dziwne. Gdzie są wszyscy ludzie? Jakiś patrol policji, jakaś jednostka specjalna? Myślałem, że zatrzymają mnie do kontroli, przekroczylem dozwoloną prędkość o dwadzieścia kilometrów na godzinę. Ale skąd mogli wiedzieć, nie mierzyli tego. Nie wyglądają na stójkowych. Kombinezony, maski?

Pewnie jakieś ćwiczenia. Może to jakaś jednostka, która przygotowuje się do wyjazdu do Afganistanu. Polskie siły zbrojne są obecne w Afganistanie od dwa tysiące drugiego roku w ramach trzech misji: Enduring Freedom, ISAF i Resolute Support. Polscy żołnierze przyczynili się do powstania oddziałów sprawnego wojska, wyszkolili tysiące policjantów oraz elitarny afgański oddział antyterrorystyczny. Polacy mieli swój wkład w rozwój tamtejszych dróg, sieci energetycznych, szkół i szpitali.

Nie byłem w wojsku. Po ukończeniu studiów uważałem, że dobrze, bo byłoby to marnowanie czasu. Teraz jednak żałuję, nawet nie potrafię sprawnie posługiwać się bronią. Ukończyłem Akademię Morską, zajęcia z wojska mieliśmy obowiązkowe tylko na pierwszym roku. A to nic w porównaniu do prawdziwej służby, którą odbyli moi koledzy. My tylko trochę pobiegaliśmy po poligonie, a przede wszystkim zakuwaliśmy teorię i budowaliśmy tężyznę fizyczną w siłowni i na basenie, przepływając dwadzieścia pięć basenów na rozgrzewkę. Profesor Kowalski chodził z kijem wzdłuż dwudziestometrowego basenu i się na nas wydierał. Co to był za kretyn, zakompleksiony dupek. Wszystkie dziewczyny, które studiowały na wydziale administracji, przez niego płakały. Pieprzony szowinista. W tamtych czasach wykładowca mógł bezkarnie wyzywać studenta. Dzisiaj źle spojrzysz na pracownika i zaraz oskarżą cię o molestowanie lub mobbing. Już

nie mówię o zwróceniu komuś uwagi. Kobiety zaczynają płakać, a chłopaki próbują unosić się honorem, ubliżają szefowi i kombinują, jak tu komuś świnię podłożyć.

Jeszcze godzina jazdy, ulice nadal puste. Pojedyncze patrole policji. Mundurowi siedzą w samochodach i nawet nosa nie wystawiają. Dobrze, że zatankowałem po przyjeździe do Krakowa. Stacje benzynowe pozamykane. Co się dzieje? Może jakiś stan wojenny? W sumie obecna partia rządząca jednym rozdała pieniądze, drugim zabrała poprzez podwyższenie podatków i składek na ubezpieczenie społeczne. Społeczeństwo, z którego kieszeni są wyciągane pieniądze (bo przecież, żeby jednemu dać, drugiemu należy zabrać), zaczyna się powoli buntować. Tuż przed moim wyjazdem do Krakowa ludzie wychodzili na ulice. Tylko gdzie oni byli podczas wyborów parlamentarnych! Od ponad dekady połowa Polaków nie chodzi na wybory. Dlaczego? Zapytana o to sąsiadka odpowiada: „Mój głos nic nie zmieni...”. A jak mówisz jej: „Jakby każdy tak uważał, to frekwencja byłaby kilkuprocentowa. W wyborach braliby udział tylko kandydaci i ich najbliższa rodzina. A i co do tego możemy mieć wątpliwości”, ucina krótko: „Bez względu na to, kto dojdzie do władzy, i tak będzie źle. Wszyscy parlamentarzyści to nieudacznicy i złodzieje”.

Trudno z tym stwierdzeniem polemizować. Większość członków rządu to ludzie, którzy w życiu

zawodowym niczego nie osiągnęli. Poszli do polityki, żeby się dorobić, nie zrażą ich wynagrodzenie niższe niż to, które otrzymują członkowie zarządów dużych firm, bo mają świadomość tego, że będąc u koryta, znajdą zatrudnienie dla członków swoich rodzin w spółkach państwowych. Zawsze lobbując projekt ustawy, na którym zależy wierchuszce polskiego biznesu, mają szansę na otrzymanie sporego wsparcia finansowego pod tak zwanym stołem. Wracając do nastrojów społecznych, które są podsycane krążącymi w sieci wiadomościami pisanymi przez rosyjskich trolli – mogło faktycznie dojść do rozruchów, ogłoszono stan wyjątkowy, godzinę policyjną i zamknięto przymusowo wszystkich w domach.

Jest moje osiedle, zaraz się wszystkiego dowiem od Basi. Moja żona, jak zaczyna opowiadać, to trudno ją wyhamować. Jest jak walec drogowy – nic jej nie zatrzyma, mówi i mówi, aż całe otoczenie zagada na śmierć. No, może trochę przesadziłem.

Policja. Ci też w jakichś dziwnych kombinezonach.

- Dzień dobry, aspirant Cyprian Czadowy.
- Dzień dobry, Czarnoksiężnik z Krainy Oz.
- Pan sobie ze mnie drwi?
- Ja? Skądże.
- Co pan tutaj robi?
- Mieszkam.
- Dlaczego jeździ pan samochodem po ulicy?
- Mam za małe mieszkanie, żeby jeździć po nim.

– Proszę nie żartować z władzy, tylko rzeczowo odpowiadać na pytania.

– Przepraszam, wracam do domu po trzech tygodniach i zaistniała sytuacja mnie trochę rozbawiła. Puste ulice, pan ma dziwne imię i nazwisko. Tak się jakoś wszystko złożyło. Bardzo stęskniłem się za żoną, nawet nie mogłem do niej zadzwonić, bo komórkę mam rozładowaną, a nie zabrałem ładowarki. I tak nie mógłbym korzystać z telefonu, bo mi go zabrano i oddano przy wyjeździe.

– Obawiam się, że szybko nie zobaczy się pan z żoną. Musi pan pojechać z nami. Proszę podać swoje prawdziwe imię i nazwisko, chyba że pan nie pamięta.

– Dlaczego miałbym nie pamiętać?

– Z objawami takimi jak zaniki pamięci też się już spotkaliśmy.

– Z objawami czego?

– Proszę nie strugać wariata. Zaraz komendant wyjaśni z panem przyczyny poruszania się po ulicy pojazdem dwuśladowym.

– A żona mi mówiła, żebym pojechał rowerem albo na motorze, a ja się uparłem, że samochodem szybciej.

– Jednośladami też nie wolno.

– A co wolno?

– Zbychu, zawieź pana na komisariat, chociaż moim zdaniem kwalifikuje się do szpitala na Srebrzysku, ale to komendant musi podjąć decyzję.

- Co z moim samochodem?
- Proszę się nie martwić, zostanie odstawiony na odpowiedni parking.
- Jak mam się nie martwić? Zabieracie bez potwierdzenia land rovera wartego kilkadziesiąt tysięcy złotych. To nie jest mój samochód.
- No proszę, kolejne przestępstwo: kradzież pojazdu.
- Ja nic nikomu nie ukradłem, to jest samochód służbowy.
- To się okaże. Zbychu, skuj w kajdanki i odwieź gościa, zaznacz, że jest agresywny.
- Ja agresywny? Tego mi nie wmówicie. Może trzy tygodnie temu przejawiałem jakieś znamiona agresji, ale nie po urlopie w zakonie. Nigdy w życiu nie byłem spokojniejszy.

To jakiś cyrk. Skuli mnie w kajdanki jak jakiegoś przestępcę. Wmawiają mi rzeczy, których nie zrobiłem. Nie chcą udzielić żadnych wyjaśnień. To jakiś obłąd. Może ja śnię i wcale nie wyjechałem z klasztoru? Może zjadłem coś dziwnego podczas kolacji? Już nie wiem, co mam o tym wszystkim myśleć. Może poproszę tego Zbycha – nawet nie wiem, jaki ma stopień, nie znam się na stopniach ani w policji, ani w wojsku – żeby mnie uszczypnął. Albo lepiej nie, jeszcze zdzieli mnie pałą. Taki trochę sado-maso, teleskopowa i czarna. Pewnie w domu żona okłada go po plecach.

Na komisariat dotarliśmy w trymiga. O dziwo w Sopocie nie było korków. Oczywiście sobie drwię.

Puste ulice, ludzie zamknięci w domach, samochody pokryte piaskowym kurzem.

– Panie komendancie, to jest ten Czarnoksiężnik z Krainy Oz, o którym przez radio mówił Czadowy.

– Dziękuję, Zbychu, posadź tego człeka, zostaw nas samych i zamknij drzwi.

– Jest pan pewien? On może być niebezpieczny, nie wiadomo, co brał i gdzie się przez ostatnie dwa tygodnie podziewał. Cały czas rżnie głupa i udaje, że nie wie, co się dzieje.

– Nie udaję, ja po prostu nie wiem, i nie dwa, ale trzy tygodnie mnie nie było w Sopocie.

– Proszę nie odzywać się niepytany, należy okazywać szacunek władzy – burknął komendant.

– Poinformujcie mnie, panowie, jak skończycie to przedstawienie, a tymczasem proszę mnie rozkuć i wskazać drogę do toalety. – Chyba z nerwów poczułem parcie na pęcherz.

– Zbychu, zaprowadź Czarnoksiężnika i go pilnuj, żeby jakiego numeru nie wykręcił i nie zniknął. Wiesz, z czarodziejami to różnie bywa. Nie wiadomo, co im do głowy przyjdzie. Czary-mary, hokus-pokus i będziemy go szukać po całym Sopocie.

– Panowie, przepraszam, gdzie ja jestem?

– Zbychu, wyjaśnij panu.

– A nie mówiłem, że wariat? Na komisariacie w Sopocie, pacanie. – Zbychu spojrzał na mnie z wyraźną pogradą i narastającą irytacją.

– Myślałem, że na Srebrzysku w szpitalu psychiatrycznym. A panowie to pacjenci, którzy przez całe życie chcieli być policjantami. Coś w życiu nie wyszło. Nie zdaliście matury, nie przyjęli do policji, a teraz bawicie się we władzę. Zbychu, zawołaj lekarza prowadzącego.

– Zaraz cię pałą zdzielę, to zobaczysz.

– Zbychu, po co te nerwy. Widziałem twój teleskopowy, czarny sprzęt, pewnie z lekkiego plastiku, żebyś sobie albo innym pacjentom przez przypadek krzywdy nie zrobił.

– Panie komendancie, czy mogę?

– Daj spokój, zaprowadź więźnia do toalety i wracaj do pilnowania porządku, a my sobie tutaj z panem Oz urządzimy małą pogawędkę. Czuję, że czeka nas długa noc.

Proszę, przez trzy tygodnie byłem odizolowany od świata, mieszkałem w celi klasztornej i nikt mnie nie nazwał więźniem. Wróciłem, zostałem pojmany sprzed własnego domu, nie podano mi jeszcze powodu, a mówi się o mnie, że jestem przestępcą. Wrócę na miesiąc do pracy i znów biorę trzy tygodnie urlopu. Tylko tym razem spędzę go z Basią na jakiejś wyspie.

– Dobrze, Czarnoksiężniku z Krainy Oz, ma pan jakieś dokumenty?

– Tak, miałem prawo jazdy, ale aspirant Cyprian Czadowy mi je zabrał i nie oddał.

– Co panu tak wesoło?

– Przepraszam, ale na jego miejscu zmieniłbym sobie imię i nazwisko, tym bardziej że dość często się przedstawia i na pewno nie jestem jedyną osobą, u której wywołał śmiech.

– Jak się pan nazywa?

– Filip...

– Niech mi pan tylko nie mówi, że z konopi.

– Czy może mi pan nie przerywać? Pyta się pan o moje imię i nazwisko i drwi pan sobie z niesłusznie zatrzymanego obywatela.

– Proszę się zwracać do mnie z szacunkiem.

– A jak to jest z szacunkiem?

– Panie komendancie.

– Tak jest, panie komendancie. Nazywam się Filip Zalewski.

– Ile ma pan lat?

– Czterdzieści cztery.

– Wygląda pan na więcej. Może dlatego, że jest pan taki wychudzony.

– Nie wychudzony, tylko szczupły, mięśnie zostały, trzy tygodnie pracy fizycznej i krótkie intensywne treningi nie poszły na marne.

– Co to były za treningi?

– Takie podstawowe ćwiczenia. Pompki, padnij-powstań i brzuchy oraz ćwiczenia z gumami.

– Pracuje pan na rzecz wroga?

– Jeżeli Niemcy są naszym wrogiem, to tak. Tylko o czym my rozmawiamy? Wojna zakończyła się

kapitulacją Niemiec ósmego maja tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku, dziewiątego maja o pierwszej zero jeden czasu moskiewskiego.

- Inteligencik się znalazł. Gdzie pan pracuje?
- W firmie Iduka.
- Czym się ta firma zajmuje?
- Produkuje urządzenia chłodnicze. Przynajmniej takie było początkowe założenie.
- Gdzie się pan ukrywał?
- Nigdzie.
- Skąd pan przyjechał?
- Z Bielan, z Krakowa.
- Jakim prawem przebywał pan w Krakowie?
- Wyjechałem na trzy tygodnie do zakonu braci kamedułów.
- Nigdy nie słyszałem o takim zakonie.
- To dziwne, bo mieszkają tam od czterystu szesnastu lat.
- Drwi sobie pan ze mnie?
- Nigdy w życiu, mnie dwa razy nie trzeba powtarzać, prosił pan komendant, żeby zwracać się do niego z szacunkiem, i staram się trzymać ustalonych reguł. Jestem porządnym obywatelem.
- Wie pan, co robią teraz porządni obywatele?
- Grabia sklepy?
- Przegina pan, panie Filipie.
- A ten, którego przed chwilą popychał na korytarzu pana kolega i wyzywał go od złodziei?

– To jest zły obywatel. Generalnie od dwóch tygodni z takimi nie mamy do czynienia. To jest wyjątek, niepokorny głupiec.

– Dowiem się, co robią porządni?

– Od dwóch tygodni nie wychodzą z domów. Ale proszę kontynuować swoją bajeczkę, z przyjemnością się rozerwę. Co pan robił w tym zakonie?

– O godzinie trzeciej trzydzieści budził mnie dzwon kościelny.

– W kościołach w Sopocie też biją dzwony, chyba o siódmej rano.

Komendant próbuje wykazać się wiedzą... Chociaż jak patrzę na miny, które robi, widzę, że niczym nie różni się od swoich podwładnych. Ma taki z lekka tępawy wyraz twarzy.

– O czwartej rano na chórze zimowym, który znajduje się na przejściu do katakumb, oddawaliśmy się wspólnej modlitwie. Później w swojej celi studiowałem Pismo Święte. Pan komendant kiedy ostatnio czytał Biblię?

Zrobił wielkie oczy, zapewne myśli... Myśl, misiu, myśl, może coś wymyślisz, chyba że słonina zatkała ci komórki mózgowe.

– W szkole podstawowej, przed bierzmowaniem.

– To podobnie jak ja. Nawet nie zdawałem sobie sprawy z tego, ile mądrych myśli jest w niej zawartych. O piątej czterdzieści pięć schodziłem do kościoła na jutrznię i mszę świętą.

– Proszę mówić w zrozumiałym dla ogółu języku.
Jaka jutrznia?

– Już panu objaśniam. Po co te nerwy. Liturgia godzin, odmawiana około wschodu słońca.

– Ja się nie denerwuję, jestem już zmęczony pana opowiadaniem, długo jeszcze będzie pan snuł te bajeczki?

– Panie komendancie... Od siódmej do ósmej miałem czas na śniadanie. Wykorzystywałam go też na ćwiczenia z gumami.

– Z gumami? A nie bali się, że się pan tam powiesi?

– Ja nie jestem wariatem.

– Odnoszę inne wrażenie.

– Od ósmej do jedenastej trzydzieści pomagałem w ogrodzie.

– Ma pan ogródek przydomowy?

– Nie.

– To się kupy nie trzyma. Skąd się pan zna na ogrodnictwie?

– Żeby kopać piłkę, trzeba być zawodowym piłkarzem?

– My z kolegami z posterunku od czasu do czasu gramy w piłkę.

– To tak samo z ogrodem, żeby kopać grządki i grabić, nie trzeba być ogrodnikiem.

– Długo pan tak kopał?

– Do seksty, która rozpoczynała się o jedenastej czterdzieści pięć.

– Zacznie pan mówić prawdę? Mówił pan, że był w zakonie, a teraz z sektą wyjeżdża. Może pana, panie Filipię, ktoś porwał i siłą przytrzymywał? Bili pana? Podpalali papierosami?

– Pan komendant przestanie się unosić i uderzać ręką w stół? Zaraz panu spuchnie, nie warto. Seksta, godzina szósta od momentu pobudki, według wierzeń żydowskich modlitwa popołudniowa. Później do godziny czternastej miałem czas wolny. Nikt mnie nie bił.

– Kopał pan ogródek, a może kogoś zakopywał?

– Nie, czytałem książki, a o czternastej zbieraliśmy się na nonę.

– To jakaś kobieta? Dopuszczał się pan gwałtu zbiorowego?

– Po włosku babcia, tylko pisane przez dwa „n”. Według Żydów godzina dziewiąta, popołudniowa.

– Jest pan Żydem?

– Nie, chociaż mój dziadek był. A pan komendant antysemitą?

– Policjant z moim stopniem nie może mieć uprzedzeń rasowych. Dlaczego pan się na nich ciągle powołuje?

– Jezus był Żydem.

– Pan mi teraz Pana Boga na daremno nie wzywa.

– Proszę, pan komendant wierzący, ale niedouczoney.

– Wie pan, co grozi za obrazę władzy? – Komendant aż delikatnie podskoczył na krześle.

Widocznie jest to jego ulubiona kwestia, którą często wypowiada.

– Proszę mi się tu nie wygrażać, to nie wstyd, też byłem bierzmowany, nawet moja Basia wyciągała mnie do kościoła, a jak trafiłem do zakonu, wszystko było dla mnie czymś nowym.

– Koniec tych modlitw?

– Nie, o szesnastej trzydzieści gromadziliśmy się na różańcu.

– Tylko proszę mnie nie pouczać i nie opowiadać, jak się odmawia różaniec. Jeść panu dawali? Wygląda pan na wychudzonego.

– Martwi się o mnie pan komendant? Nie ma o co, trochę schudłem, musiałem w pasku od spodni doroobić dwie dziurki, może dlatego, że kolację jadłem o siedemnastej, a nie jak w domu o dwudziestej pierwszej czy drugiej.

– O tej godzinie to nawet moja pięcioletnia córka nie chodzi spać.

– Jaką godzinę ma pan komendant na myśli?

– Rozumiem, że po kolacji szedł pan spać.

– Nie, o osiemnastej trzydzieści spotykaliśmy się w kościele na nieszpórach, Litanii loretańskiej, odmawialiśmy Anioł Pański i bracia czytali Pismo Święte. Później tylko kompleta, modlitwa za zmarłych i różaniec.

Jak sobie posiedzisz kilka dni na dołku, to będziesz miał tutaj swoją kompletę, a nawet zrobisz rachunek

sumienia i potem powiesz nam jak na świętej spowiedzi, gdzie byłeś.

– Widzę, że coś zaczęło panu komendantowi świtać w głowie.

– Wiem, co to jest kompleta, myślał pan, że rachunku sumienia nigdy nie odmawiałem? Jak się ma do czynienia z takimi gagatkami jak ty, to często ręka swędzi. Tobie też zaraz przyłożę.

– Ja mam się do pana komendanta zwracać z szacunkiem, a pan mnie przez cały czas niesłusznie posądza.

– Co pan tam jadł?

– Warzywa, kaszę.

– Zakonnicy chodzili do sklepu na zakupy? Przecież od dwóch tygodni sklepy są zamknięte.

– Mają swoje uprawy i spiżarnie z zapasami.

– Gdzie pan mieszkał?

– W domku, do którego przylegał mały ogródek. Domek wyposażony był w drewniany stół, regał na książki i bardzo niewygodne łóżko.

– Na dołku pan zobaczy, co znaczy niewygodne łóżko.

– Proszę mnie wypuścić, chcę wracać do domu. Położyć się w czystej pościeli obok żony, przytulić do siebie moją Basię.

– Teraz to pan się położy obok ściany, w celi, tylko proszę za bardzo się do niej nie przytulać, bo jest zimna.